

1.

I oto Dzwoniec P po raz pierwszy w życiu, zobaczył wyjątek od reguły. W skrzynce pocztowej nie było ulotek reklamowych, kolorowych gazet i innych gadżetów. Była tylko jedna elegancka koperta złocistego koloru.

„Jak w baśni” — pomyślał. — „Zaproszenie na ślub lub komunię. Ale kto zaprosił? Zresztą i tak nie pójdę”.

Miał „gęsty czas”, jak sam ten stan nazywał. Tydzień, a więc siedem dni temu, porzuciła go Maria Antonina, bez uprzedzenia. Żyli bez ślubu, ale zgodnie, dobrze im było ze sobą i wszyscy wokół mówili, że są dobraną parą.

Dobraną!

Uciekła bez uprzedzenia, zostawiła tylko kartkę na stole: „Odchodzę na zawsze. Przestałam cię kochać”.

Po tym wypadku gorycz zaczęła wypływać z serca. Nieustannie szukał przyczyn. Ale ani w niej, ani w sobie nie potrafił jej znaleźć. Do ostatniej chwili ich świat ani razu nie wyskoczył z zawiasów. Nie było też dzielenia włosa na czworo ani darcia pościeli.

Zagadkowe odejście!

Ugodziła go mocno!

A przysięgała, że do grobowej deski, nawet poza nią. Cóż, jak każda kobieta zdolna jest do obłądnych czynów, tak dobrych jak i złych. Ona wybrała złą ścieżkę. Zazwyczaj tak bywa.

Ale dosyć smutku, robimy wolnę, od koloru czarnego przechodzimy do złotego.

Znakomicie!

Jesteśmy na miejscu.

Dzwoniec P siedzi przy swoim biurku i otwiera list, nożykiem, aby nie uszkodzić koperty, której kolor przypominał mu tło ikony — światłość, która na nas czeka po opuszczeniu tego padołu łez.

Przeczytał list i uniósł brwi, chciał się nawet uśmiechnąć, ale drugi Dzwoniec P — ten wielkości protonowego kciuka i mieszkający w jego sercu — nie dopuścił do tego. Szepnął, że to bardzo, ale to bardzo poważna sprawa. Tak osobliwa, że nawet on nie wie, co z tym fantem zrobić i do kogo się udać z prośbą o pomoc.

Posłuchał, nie uśmiechnął się, złożył tylko usta w „dziób” i zapatrzył się w złoto papieru.

„Uciec tam, w te rozłogi, jak kiedyś się uciekało na Zaporozże lub Dziki Zachód, bez tych ziemskich ceregieli — cierpienia i umierania”.

Jeszcze raz przeczytał list:

„Obywatel Dzwoniec P niniejszym otrzymuje rozkaz zlikwidowania Prezydenta Państwa Donalda Drake’a w ciągu jednego miesiąca. W wypadku odmowy lub nie dotrzymania terminu Dzwoniec P zostanie zlikwidowany. Odliczanie czasu rozpoczyna się od dnia wysłania listu z rozkazem.

PS. Obywatel Dzwoniec P zostanie ukarany karą śmierci również wtedy, gdy doniesie o powyższym policji lub komukolwiek przekaże treść wiadomości”.

„Morderstwo w złotym opakowaniu” — pomyślał i łzy zapiekły w kącikach oczu. Łzy popłynęły samoistnie, jakby to nie on płakał, ale ten drugi Dzwoniec P — jego tchnienie, sumienie, dusza, ja.

— Boże, jestem tylko człowiekiem, marnym dziennikarzyną, a nie herosem – szepnął, ocierając łzy higieniczną chusteczką. — Za dużo tego jak na moje barki.

— *Biedny ty, Robinsonie, biedny* — usłyszał.

Nie był to obcy głos, mimo to drgnął, usłyszał dźwięki nerwami, więc zakłuło w sercu. Szybko się uspokoił, lecz łzy z odbitym słońcem nadal wyciekały z kącików oczu i nadawały twarzy jesienny wyraz.

Po chwili wstał i podszedł do klatki, w której papuga tłukła dziobem w blaszany pojemnik na wodę.

— Nie bądź w gorącej wodzie kąpany — powiedział. — Tak czy owak na jednym wózku jedziemy.

— *Biedny ty, Robinsonie, biedny* — ponownie zaskrzeczał Karol.

Papugę zapomniała lub rozmyślnie zostawiła Maria Antonina. Karol należał do niej, odziedziczyła ptaka po babce — żonie marynarza. W pierwszym odruchu chciał oddać papugę do ZOO, ale, na szczęście, rozmyślił się w drodze i wrócił z ptakiem do domu. Karola od tej chwili zaczął traktować jak dobrego przyjaciela. Jego chrapliwie wypowiedane zdanie przypominało mu o ludzkiej, a więc i jego, kondycji.

Dzwoniec P napełnił pojemniki: jeden wodą, drugi ziarnem, a następnie poszedł do kuchni, wyciągnął z lodówki butelkę whisky i wrócił do salonu. Usiadł w fotelu, napełnił szklankę i natychmiast wypił dwa głębokie hausty. Wypił i tuląc głowę do wysokiego oparcia, czekał na szept krwi rozgrzanej alkoholem. Nie doczekał się. Dopiero po czwartym hauście zaczęło wschodzić słońce, a wraz z nim kurtyna poszła w górę. Na scenę wjechała kareta, stara, skrzypiąca i obryzgana błotem. Konie w zaprzęgu należały do tej kategorii, którą nazywamy „chabetami”. Dorożkarz cuchnął samogonem i kiszoną kapustą.

— Dojechaliśmy! — krzyknął i ściągnął lejce.

Z karety wysiadł jegomość w czarnym błyszczącym garniturze. Nikt szczególny — ktoś z wydatnym brzuszkiem i podwójną brodą. I z dwoma pomocnikami, czy też sługami. Jegomość prawą dłonią uchylił kapelusza, lewą podniósł w powitalnym geście.

— Przyjechaliśmy w gościnę na cały miesiąc — powiedział donośnie.

— *Biedny ty, Robinsonie, biedny* — zaskrzeczał Karol, głośniejszym niż zwykle.

— Spokój! — krzyknął Dzwoniec P zaciekawiony wizją.

Spojrzał na klatkę i pogroził papudze wskazującym palcem. Kiedy ponownie spojrzał przed siebie, wizji już nie było. Było to pierwsze widziadło w jego życiu, a jego przyczyną, tak przypuszczał i słusznie, było sprawka Marii Antoniny.

Uciekła!

Żeby do rodziców, to byłoby pół biedy, ale nie — uciekła diabeł wie gdzie, diabeł wie z kim i dokąd.

— Ta moja niezmierna wyobraźnia, to moje źródło biedy — i opróżnił szklanekę do dna.

— *Nie byłoby tej paranoi* — szepnął ten drugi Dzwoniec P złoty, wielkości protonowego kciuka — *gdybyś wierzył Torze i prorokom. Tam stoi czarno na białym, że człowiek to okrutna i zdradliwa istota, zdolna do najgorszego. Co się stało, to się nie odstanie* — szepnął już pokorniej. — *Należy nauczyć się z tym żyć, wpiąć się w zaistniałe wschody i zachody słońca, które nigdy się nie kończą, przynajmniej za mojego życia, które kocham, sam nie wiem dlaczego? Jest w nim przecież więcej smutku niż zdziwienia.*

— *Biedny, ty Robinsonie, biedny* — zaskrzeczał Karol.

Dzwoniec P nie usłyszał lub nie chciał usłyszeć, mocniej wcisnął się w fotel i wsłuchał się w siebie. Czekał na melodię bluesa, dość długo czekał, nie doczekał się, usłyszał tylko trzaski suchych łamanych gałęzi. Z niezadowoleniem kiwnął głową, sięgnął po szklanekę i opróżnił do dna. I ponownie zaczął czekać. Doczekał się, ale nie melodii, tylko upojenia. Napływało drżącymi kolorowymi falami jak zorza polarna. Każda fala

zrywała z niego coraz to inny węzeł czy zatrzask. Czuł się szczęśliwy i wielki.

Dostrzegł złotą kopertę i uśmiechnął się. Wstał, przyniósł z kuchni talerz i zapalki i zerknął na kopertę.

— Zobacz, Karol, co zrobię z tym straszylem.

Spalił wpierw list, a następnie kopertę. Przez chwilę patrzył na zwęglone szczątki, uśmiechając się, zgniótł szarą spaleniznę w drobny pył, poszedł ponownie do kuchni, podstawił nachylony talerz pod kran, puścił wodę, popiół z szumem został pochłonięty przez strugę i — zniknął w labiryncie kanalizacyjnych rur.

Następnie umył talerz i dłonie, wytarł je dokładnie, do sucha i wrócił do pokoju.

— Pogrzebaliśmy moją śmierć — powiedział, patrząc na Karola. — Unieważniliśmy wyrok. Teraz opijemy zwycięstwo.

Napełnił szklankę.

— Twoje zdrowie, Karol! To nie ostatnie życzenie i szklanka. Oj, nie ostatnia...